

Łukasz Maślanka: Wolni czy solidarni?

Banalna zasada „kto pierwszy, ten lepszy” zdecydowała o tym, kto miał przez następne dwie dekady narzucać swoje zdanie w polskim konflikcie między „indywidualistami” a „komunitarystami” – pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Wspólnota indywidualistów?

Konflikt między aspiracjami jednostki a dobrem wspólnoty jest nieodłączną częścią formowania wszystkich nowoczesnych społeczeństw zachodnich. Dotyczy to zarówno Europy, jak i obydwu Ameryk. Spór ten nigdy się nie kończy, ale można zauważyć, że jego szczególne natężenie przypada na okresy przyspieszonego rozwoju gospodarczego, gdy – w warunkach gospodarki kapitalistycznej – nawarstwiają się różnice w dochodach, a – co za tym idzie – akumulacji kapitału poszczególnych klas społecznych. Osiągnięcie względnej równowagi między autonomią indywidualną a wyzwaniami kolektywnymi nie musi być nieodzownym warunkiem awansu do grupy krajów wysoko rozwiniętych, o czym świadczy chociażby przykład Stanów Zjednoczonych. Utrzymywanie jednak tego konfliktu w dużym natężeniu przez nieokreślony czas jest luksusem, na który mogą sobie pozwolić jedynie społeczeństwa dysponujące ogromnymi zasobami i rezerwami.

Naturalne procesy rozwoju i bogacenia się społeczeństwa polskiego przebiegały w zaburzony sposób przez prawie 200 lat. Dopiero w roku 1989 – z krótką przerwą między 1918 a 1939 rokiem – mogły one skierować się na tory mniej więcej znane z historii gospodarczej krajów zachodnich. Już na początku transformacji ujawniło się pole konfliktu między poszkodowanymi przez likwidację specyficznej opiekuńczości państwa socjalistycznego a tymi, których relikty tej opiekuńczości krępowały w rozwoju. Ta druga grupa nie składała się wyłącznie z beneficjentów poprzedniego systemu, którzy zdążyli przygotować sobie lepszą pozycję startową po wprowadzeniu kapitalizmu, lecz także z całej rzeszy ludzi młodych, którzy mieli okazję – najczęściej dzięki przywilejowi zamieszkiwania miast uniwersyteckich – zdobyć wyższe wykształcenie w czasach, gdy było ono jeszcze dobrem rzadkim. Transformacja ustrojowa otworzyła pole działania temu pokoleniu dwudziesto- i trzydziestolatków, gdyż rodzącej się gospodarce kapitalistycznej brakowało personelu ją obsługującego (maklerów, ekonomistów, prawników, dziennikarzy, lekarzy, architektów, tłumaczy, pionierów biznesu). Łatwość, z jaką dość sporej grupie ludzi, udało się wtedy zdobyć – najczęściej zupełnie uczciwie – silną pozycję społeczną i ekonomiczną, jest typowa dla okresu wielkich przemian, lecz niepowtarzalna na ich dalszym etapie. Ta niepowtarzalna łatwość stała się także polem konfliktu z ludźmi wchodzącymi w dorosłość w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych i później. Napotkali na szklany sufit: gospodarka została nasycona odpowiednim zasobem kadrowym, zaś dalszy popyt zatrzymany, ze względu na jej stosunkowy prymitywizm oraz spowolnienie rozwoju.

Banalna zasada „kto pierwszy, ten lepszy” zdecydowała o tym, kto miał przez następne dwie dekady narzucać swoje zdanie w polskim konflikcie między „indywidualistami” a „komunitarystami”.

Już na początku transformacji ujawniło się pole konfliktu między poszkodowanymi przez likwidację opiekuńczości państwa socjalistycznego a tymi, których relikty tej opiekuńczości krępowały w rozwoju

Mniejszościowa, ale wpływowa grupa, która osiągnęła względny sukces na początku transformacji, musiała odczuwać ogromny dysonans estetyczny między poziomem swojego życia a otoczeniem infrastrukturalnym, jakie oferowało

wówczas polskie państwo. Ponieważ etap „dorabiania się” jest z zasady momentem, w którym psychologicznie jednostka skupia się na sobie, wykazuje tendencje do nadmiernej wiary we własnej siły, dysonans ten nie zaowocował falą myślenia wspólnotowego, lecz chęcią izolacji, wyróżnienia się, czasami ucieczki (możliwości emigracji były jednak do połowy lat 2000. ograniczone). Hegemonii narracji indywidualistycznej nie przeszkadzały nawet najbardziej rzucające się w oczy patologie: gwałtowny rozwój przestępczości, zapaść służby zdrowia (ta prywatna, fundowana przez korporacje, nie sprawdza się np. w przypadku chorób onkologicznych). Moda na lekceważenie wspólnotowości była tak silna, że przejmowały ją nawet grupy przez transformację poszkodowane, wykazując w ten sposób klasyczny przypadek fałszywej świadomości.

Reakcja tej części społeczeństwa, która konsekwentnie domagała się interwencji państwa w gospodarce oraz przejawiała intuicje wspólnotowe, wahała się między całkowitym odideologizowaniem a naiwną wiarą w to, że narzucenie nowej ideologii państwowej doprowadzi do zbudowania harmonijnego porządku społecznego.

Pierwsze półtorej dekady transformacji cechowało się obecnością silnej grupy elektoratu, który domagał się przywrócenia modelu opiekuńczości przypominającej czasy realnego socjalizmu.

Wykształcenie się na początku lat 90. wspomnianej wcześniej „pierwszej fali menedżerów” oraz hegemonia ich dość prymitywnego neoliberalnego *credo* wydaje się w tym kontekście prawdziwym błogosławieństwem: obok nieskończonego egoizmu grupa ta cechowała się jednak nastawieniem silnie prozachodnim. Gdyby proporcje ułożyły się nieco inaczej, tak jak to stało się na Ukrainie, w Rosji czy innych państwach byłego ZSRR, ewolucja gospodarcza przebiegałaby w sposób uniemożliwiający nam szybką integrację ze strukturami europejskimi. Udało się tego uniknąć dzięki wielkiemu oszustwu: partia postkomunistyczna potrafiła czarować trzon swoich wyborców nostalgią za PRL-em i jednocześnie wprowadzać w życie z wielką konsekwencją indywidualistyczne plany „menedżerów”.

Elektorat postkomunistyczny nie był bowiem w żadnej mierze grupą ideologiczną, tak jak to jest z wyborcami lewicy w krajach zachodniej Europy, lecz czysto nostalgiczną. W ramach tego elektoratu doszło jednak do istotnej schizmy w stronę twardego populizmu, której apogeum przypada na pierwszą połowę lat 2000. Wyborcy „Samoobrony” również abstrahowali od wszelkiej ideologii (choć ludzie zideologizowani krążyli w orbicie tego ugrupowania) na rzecz konkretnych postulatów socjalno-bytowych.

Ideologiczna reakcja przeciwko indywidualistycznemu modelowi transformacji narodziła się na prawicy. Co ciekawe, nie miała ona na początku charakteru socjalnego: ten pojawił się dopiero wraz z sukcesem mediów o. Rydzyka i dojściem do głosu starszego pokolenia obozu antykomunistycznego. Autorami pierwszych zauważalnych buntów przeciwko kultowi konsumpcjonizmu i dorobkiewiczostwa byli ludzie, którzy sami odnieśli sukces, najczęściej na niwie

dziennikarskiej, w pierwszej połowie lat 90. To – umownie rzecz biorąc – pokolenie „Frondy”, „Brulionu”, UPR-u i tzw. „Pampersów” sformułowało postulaty przemiany społecznej poprzez modyfikację nadbudowy, wzorowaną najczęściej na zagranicznych projektach konserwatywnych. Stąd bardzo silne zainteresowanie korporacjonizmem, dyktaturami latynoamerykańskimi, salazarowską koncepcją *Estado Novo*, monarchizmem, niekonserwatyzmem amerykańskim, thatcheryzmem itd. Chodziło o system, w którym bardzo szeroki zakres wolności ekonomicznej (dzięki której ta grupa odniosła sukces) moderowana jest przez niezwykle restrykcyjne i silnie zideologizowane państwo quasi-religijne. Wynikało to z przekonania, że niedostatki kształtującego się w Polsce kapitalizmu wynikają z kryminalnych patologii generowanych przez środowiska elity postkomunistycznej oraz wpływy zachodnie, w tym zwłaszcza te związane ze środowiskami lewicowo-liberalnymi. Tego typu koncepcje muzealno-terrorystyczne nie mogły oczywiście zdobyć szerokiego odzewu społecznego, lecz przyniosły swoje owoce na dłuższą metę w postaci programu obecnej partii rządzącej.

Sukces projektu politycznego Jarosława Kaczyńskiego polegał na dostrzeżeniu kilku ważnych zjawisk społecznych. Po pierwsze, osierocony elektorat postkomunistyczny (zarówno ten ortodoksyjno-eseldowski, jak i heretycko-populistyczny) okazywał swoje rozczarowanie poprzez stopniowe przesuwanie się w kierunku konserwatywnym. Stąd – tak wyśmiewane przez niektórych, a przecież całkowicie naturalne – flirty środowiska Radia Maryja lub Prawa i Sprawiedliwości z osobami o przeszłości komunistycznej. Po drugie, zmobilizowany przez środowiska katolickie elektorat średnio-starszego pokolenia miał oblicze zdecydowanie socjalne i wspólnotowe, co skłoniło lidera PiS-u do odejścia od głoszonych na początku lat 90. liberalizmu gospodarczego. Po trzecie, wymagania racjonalnej polityki

budżetowej nie pozwalały na nadmierne eskalowanie postulatów socjalnych (co robił Andrzej Lepper). Podniętą zastępczą miał okazać się zestaw podniet ideologicznych, częściowo przejętych od zideologizowanej młodej prawicy lat 90., częściowo zaś odziedziczony po autorytarnej tradycji II Rzeczypospolitej.

Dopiero synergia tych wszystkich elementów pozwoliła na uformowanie w polskich warunkach szerokiego stronnictwa komunitarystycznego, zdolnego rywalizować na równych prawach z równie skonsolidowanym stronnictwem indywidualistycznym. Ewolucję w tym kierunku ułatwiają coraz silniejsze skłonności konserwatywne wśród Polaków. Wynikają one z całkowitego uwiądnienia jakiegokolwiek alternatywnej, świeckiej etyki społecznej i monopolizacji tej sfery przez Kościół. W efekcie spora część rodaków Tadeusza Kotarbińskiego i Marii Ossowskiej nie potrafi sobie wyobrazić innego porządku społecznego niż ten, który jest wpajany z ambon oraz na lekcjach katechezy. Sytuacja ta jest bardzo groźna, gdyż religia może internalizować porządek etyczny tak długo, jak jednostka (i społeczność) uczucie religijne odczuwa. Społeczeństwa Europy zachodniej dały w ostatnich dekadach przykład szybkiej erozji tego uczucia i lepiej przetrwały ją te, w których istniała konkurencyjna, świecka etyka obywatelska (Francja, kraje skandynawskie, Wielka Brytania, Niemcy) niż te, gdzie etyka motywowana religijnie cieszyła się monopolem (Włochy, Hiszpania, Portugalia, niektóre kraje Ameryki Łacińskiej).

Wydaje się, że ostatnie wybory parlamentarne i prezydenckie rozstrzygnęły opisany wyżej spór na korzyść umiarkowanego komunitaryzmu. Kilka wyraźnych gestów nowej ekipy rządzącej w tym duchu przyczyniło się nawet do pewnego wyrównania rachunków

krzywd. Jest to jednak komunitaryzm nietypowy, w którym zbyt wiele tematów zastępczych, fałszywych recept mających za zadanie zakrzywić rzeczywistość. Nie da się „wyczarować” względnie harmonijnego modelu społecznego poprzez narzucenie takiej lub innej matrycy ideologicznej. Nagłe pogorszenie sytuacji ekonomicznej może sprawić, że jedynym narzędziem konsolidowania elektoratu dla obecnej władzy stanie się oddziaływanie poprzez twarde postulaty ideologiczne. Doprowadzą one do jeszcze głębszego skonfliktowania społeczeństwa oraz zbyt wyraźnego – jak na wymagania państwa demokratycznego – ograniczenia wolności osobistej i światopoglądowej. Nihilizm i zamiłowanie obozu przeciwnego do swoistej „polityki transakcyjnej” nie pozwalają na wiarę w istnienie jakiegokolwiek alternatywy. Polska polityka skazana jest na dryfowanie między widmem aferalnego indywidualizmu (prowadzącego do stopniowej „hordyzacji” społeczeństwa) a pokusą autorytarnego paternalizmu (którego „szafarze”, przeniknięci zadziwiającym poczuciem wyższości, korumpują się w zadziwiającym tempie). Nieciekawa to perspektywa.